

MIROŚŁAW M. BUJKO



CZERWONY BYK



MIROŚŁAW M. BUJKO

(ur. 1951), muzykolog, doktor nauk humanistycznych. Szef Zakładu Komunikacji Społecznej w Wyższej Szkole Komunikowania i Mediów Społecznych im. Jerzego Giedroycia w Warszawie. Praktykuje *iaido* – tradycyjną sztukę japońskiego miecza (w roku 2006 uzyskał 2 dan) i wytwarza miecze tradycyjnymi technikami. Jako pisarz zadebiutował w 2003 roku napisaną dziesięć lat wcześniej *Księgą uczynków*, którą Andrzej Drawicz – pierwszy czytelnik książki – nazwał „następnym tomem” *Mistrza i Małgorzaty Bułhakowa*. W 2005 roku opublikował drugą powieść, *Złoty pociąg*, obecnie pracuje nad kolejną, zatytułowaną *Wyspy Szerszenia*. *Złoty pociąg* ukaże się wkrótce w Niemczech i Brazylii, brazylijski wydawca pracuje także nad przekładem *Czerwonego Byka*.

MIROŚŁAW M. BUJKO
CZERWONY BYK

MIROŚŁAW M. BUJKO
CZERWONY BYK

w
ydawnic
ab
two

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2007
Wydanie I
Warszawa 2007

Maszyny o kilka wieków wyprzedzają moralność,
a kiedy moralność je dogoni, może nie będzie już
potrzebna.

Mam nadzieję, że nie. Jesteśmy jednak jedynie termi-
tami na planecie.

Być może, kiedy zbyt głęboko wgryziemy się w pla-
netę, dojdzie do obrachunku – kto wie?

Harry Truman

Tu nie chodzi o wybór między pokojem a wojną.

Tu chodzi o wybór między wojną a inną wojną.

Mahabharata

Wybrałeś wojnę i oto jest. Wszystko już gotowe:
wojownicy, konie, rydwany, wozy pełne broni, kon-
woje, namioty dla rannych, drwa na stosy ciepłopalne,
jasnowidze, węże jadowite...

Mahabharata



**Południe 29 lipca 1944.
Cztery i pół tysiąca metrów
nad Mandżurią**

Chmury. Chmury. Chmury. W dole i po bokach. To było zabawne wrażenie. Wydawało się, że są bardzo blisko i wystarczyłoby tylko wyciągnąć rękę, żeby poczuć ich ulotny dotyk. Ale były także bardzo realne. Przepływały majestatycznie, niczym trącone łyżeczką kupki słodkiej pianki z białek, pływającej po mlecznej powierzchni zupy nic.

Gdy był mały, nienawidził tej zupy – za mdłą słodycz, ale jeszcze bardziej dlatego, że przyrządzanie jej wprawiało jego matkę w absurdałne samozadowolenie. Tak jakby stworzyła coś wielkiego i wspaniałego. Wnosiła tę zupę z triumfującą miną, niczym westalka niosąca święty ogień przed ołtarz Zeusa. Jego starszy brat uwielbiał to paskudztwo i był zwykle głównym akolitą na mdłym i słodkim jednocześnie nabożeństwie. Ale jego brat po kilkuletnim okresie wstrętu do jakiegokolwiek jedzenia – od czego rodzice żartobliwie ochrztili go Teddym-Niejadkiem – wpadł w kolejny cykl: pożerania wszelkiej strawy bez umiaru. Smakowała mu nawet zupa nic. Świństwo sporządzone z zimnego, osłodzonego waniliowym cukrem mleka i równie słodkiej pianki z białek, ubitej kunsztownie zabawnym, sprężynowym ubijakiem. W dodatku zupę nic podawało się w domu Darrellów zamiast jego ulubionego deseru – wiśniowej galaretki z zastygłymi w kolorowym, pysznym żelu kawałkami pomarańcz. Ale teraz... – poprawił się w fotelu, bo nagle ostro zakłuło go w kręgosłupie – teraz kilka łyżek zupy nic sprawiłoby mu przyjemność. Może przywołałoby specyficzny, jedyny na świecie waniliowy zapach domu w niedzielne popołudnie, kiedy to zwyczajowo u Darrellów pojawiała się na stole zupa nic, niwecząc doszczętnie pikantny i kleisty smak świątecznego indyka z borówkami. Chmury były wspaniałe. Gdy leciutko zmrużyło się oczy, można było dostrzec w ich kształtach

rzeczy zupełnie niezwykle. Podstawa tej olbrzymiej, rozdętej do monstrualnych rozmiarów, lokowała się na dziewięciu tysiącach stóp. O ile znał się na chmurach, była polepiona z cumulusów. Ulotnych, niefrasobliwych tworów, jakże chętnie inicjujących swój nietrwały, liczony w minutach, żywot w taki właśnie piękny, słoneczny dzień. Gdy jednak twory te zaczęły się gromadzić, jak demonstranci pod siedzibą władz stanowych, i konspirować, ich połączone nietrwałości rozbudują się, tak jak w tym przypadku, w imponującego stratocumulusa i wreszcie w twór o wygórowanych ambicjach – cumulonimbusa, którego wierzchołek sięgnie, lekko licząc, trzydziestu tysięcy stóp. Gigantyczna chmura po prawej w zabawny sposób przypominała chińską porcelanową figurkę, zdobiącą biurko dowódcy 462 grupy bardzo ciężkich bombowców, stacjonującej w Bazie A1 w Kiunglia. Figurka była wspaniała i Darrell podczas częstych wizyt w gabinecie dowódcy wpatrywał się w nią urzeczony, starając się puszczać mimo uszu to, co wyrzucał z siebie czerwony na gębie pułkownik Jak-mu-tam. Tak go między sobą nazywali, ponieważ wódz 462 grupy, absolutny władca ich życia i śmierci, znany był głównie z tego, iż nie potrafił zapamiętać nawet najprościej brzmiących nazwisk swych licznych podwładnych. Również pięknie dźwięczące nazwy malowniczych miejscowości w opanowanej przez 58 skrzydło bombowe okolicy – w których mieściły się prowizoryczne lotniska, oznaczone tajemniczymi kryptonimami CV, TC, TR i GI – stanowiły dla pułkownika Jak-mu-tam najprawdziwszą udrękę. Jak głośiły grupowe ploteczki, godzinami wpatrywał się w mapę, usiłując wbić do znękaney mózgownicy tajemniczą i niepojętą muzykę Pengshan, Kiunglia, Hinshing, Kwanganhan. Ale nic z tego nie wychodziło. Nosił więc podobno w kieszeni karteczki ze starannie wykaligrafowanymi nazwami lotnisk i wyjmował je w stosownych chwilach wydawania ważnych rozkazów. Ale i tak nad wszystkim musiał czuwać jego adiutant, bo Jak-mu-tam mylił nawet owe karteczki. Ile w tym prawdy, nikt z załóg grupy nie

wiedział, ale poziom umysłowy dowódcy był żelaznym tematem dowcipów. Jedna z załóg założyła nawet specjalny brulion, w którym skrzętnie zapisywała wciąż nowe anegdotki związane z pułkownikiem. Odczytywano je potem przy akompaniamentie żywiłowej wesołości na specjalnych, suto zakrapianych piwem spotkaniach, nazywanych konspiracyjnie wieczorami poetyckimi. Nie trzeba dodawać, że nie wszyscy byli na nie zapraszani. By wkupić się do klubu dowcipnisiów, trzeba było wymyślić kolejny, oryginalny dowcip. W ten sposób wstępowało się w konspiracyjne szeregi żartujących ze zwierzchności, a to – w pojęciu organizatorów „wieczorów poetyckich” – skutecznie zabezpieczało klubowiczów przed donosicielstwem.

Chmura przepływała teraz majestatycznie po prawej stronie i dzięki przestronnemu oszkleniu kabiny (w istocie siedzieli tu jak w wielkiej szklanej bańce, nazywanej przez załogi cieplarnią) można było podziwiać ją bez przeszkód. Kaprys bilionów mikroskopijnych kryształków lodu, kropelek wody i pary wodnej stworzył fantastyczną kopię figurki z biurka dowódcy. To był stary Chińczyk, siedzący na płaskim nadrzecznym kamieniu i łowiący ryby. Wszystko było jak trzeba, a sam kapelus, idealnie wytoczony z altocumulusa, miał ze trzy kilometry średnicy. Brakowało tylko wędziska z dyndającą na końcu szylkretową rybką, więc gigantyczny staruszek głupio wyciągał przed pępkiem kilkusetmetrową, obejmującą rozrzedzone powietrze prawą dłoń. Wyglądało to tak, jakby się dostojnie onanizował w atmosferycznej samotności. Darrell rozkaszał się, gwałtownie wyrwany z kontemplacji. Rozwalony w prawym fotelu drugi pilot, oficjalnie kapitan Forrest C. Fisher, a przez przyjaciół i znajomych zwany Legendą, zapalił kolejnego papierosa. Przewisko miało swoje źródło w skomplikowanych historiach, którymi Fisher raczył swoje kolejne seksualne zdobycze. Najwidoczniej znajdował w zmyślaniu szczególną przyjemność, choć właściwie koloryzować nie musiał. W kwiecie dwudziestu dziewięciu lat był mężczyzną nad wyraz urodziwym. Darrell

poradził mu czas jakiś temu, by miał konfabulować zabrał się za pisanie powieści, a dziewczętom mówił jedynie to, co nieodzowne jako preludium do seksualnych igraszek. Darrell nie palił od ośmiu lat, a ciśnieniowa instalacja kabin samolotu wysuszała mu wrażliwą jak u dziecka śluzówkę.

– Kopcisz jak głupi! – To była pretensja, ale brzmiał w niej ton autentycznej troski, bo Darrell bardzo lubił swego zastępcę mimo jego rozlicznych, trudnych do zniesienia wad. – Nawet nie masz pojęcia, jak to gównem śmierdzi. A pojęcia nie masz, bo nigdy nie rzuciłeś palenia. – Pomachał ostentacyjnie dłonią przed nosem. – Z czego oni robią tę truciznę?

– Przecież to camele! – Drugi pilot energicznie bronił ulubionej marki i nawet przyjął w fotelu całkiem przyzwoitą pozę. W każdym razie zdjął lewą nogę z krawędzi tablicy przyrządów (podeszwa buta niebezpiecznie naciskała na obramowanie szybkościomierza) i umieścił ją tam, gdzie należało, na płaskim pedale orczyka.

– Właśnie – Darrell zimno cedził słowa – pachnie dokładnie tak jak wielbłądzie gówno.

Legenda westchnął i zdusił połówkę camela w popielniczce. Na szczęście popielniczki w samolocie miały szczelne przykrywki na zawiaskach i niedopałki nie śmierdziały tak jadowicie. Darrell w swojej dziewiczej popielniczce trzymał torebkę z mocnymi miętówkami.

– Harold, skąd wiesz, jak śmierdzi wielbłądzie gówno?
– Legenda był jednak lojalnym konsumentem.

Darrell uśmiechnął się z wyższością.

– Latałem przez dwa miesiące w Afryce i byłem na pustyni w nocy. Arabowie rozpalają z tego ogniska, bo te gówna są wyjątkowo suche i twarde. Tego zapachu się nie zapomina. A ty sam masz już zęby żółte jak wielbłąd. Kiedyś były całkiem ładne. – Wrzucił do ust miętówkę i wykrzywił twarz, bo wydała mu się wyjątkowo gorzka. – Jak te twoje dziewczyny

ny mogą się z tobą całować? – gderał bez złości. – Równie dobrze mogłyby całować się z tą popielniczką...

Legenda miał gotowy argument i uśmiechnął się szeroko, bo rozmowa schodziła na jego ulubione tory:

– My się nie całujemy! – Darrell uniósł brwi w sardonicznym znaku zapytania i czekał na ripostę, świadom poczucia humoru podwładnego. – Od razu zabieramy się do rzeczy. Szkoda czasu. Zresztą całowanie się jest bardzo niehigieniczne. Te wszystkie mikroby i tak dalej.

– Myślisz, że jak zmuszasz je, żebyssały tę twoją....
– Darrell przez chwilę szukał dobrego słowa, by nie popaść w banał i wulgarność – ...tę twoją turbosprężarkę, to to jest higieniczne?

– Dla mnie tak.

Darrell nie rzekł nic i tylko pokiwał z politowaniem głową. Ale to politowanie też było żartem, bo doskonale wiedział, że Legenda nigdy nie okazał się egoistą. Był dla swoich ofiar koleżeński i troskliwy. Dbał, by – nie daj Boże – nie zaszczyli z nim w ciężę, i zawsze upewniał się, że miały autentyczny orgazm. Jednym słowem, gdyby ograniczył swoje bigamiczne skłonności, mógłby być wzorem kochanka.

– Dobrze. – Darrell musiał się zmusić do tego, by na powrót wejść w rolę dowódcy. Słońce, chmury i rozmowa z Fisherem zupełnie go zdemobilizowały. – Zejdziemy na przelotową. Zmniejsz obroty.

Choć wciąż lecieli nad terytorium okupowanym przez Japończyków, nic im z ziemi ani na niebie nie zagrażało. Nad celem, a była nim stalownia koncernu Showa w Anshan, też nie działo się nic godnego odnotowania w dzienniku. Lotnictwo japońskie dogorywało. Nie mieli ani personelu, ani sprzętu, ani paliwa. Obrona przeciwlotnicza w rejonie celu to nieliczne baterie, których pociski ledwie sięgały pułapu, na którym podchodzili nad cel. Choć trzeba przyznać, że jeden pocisk rozerwał się całkiem blisko i samolotem zakołysało

gwałtownie, gdy błyskawicznie przelatował przez chmurę dymu. W kilka minut później, kiedy dziewięćdziesiąt sześć bombowców zaczęło wypróżniać się z prawie 900 ton bomb i stalownię pokryły dokładnie jaskrawe, pomarańczowo-czarne bąble eksplozji, słabiutka japońska artyleria zamilkła. Widać ze strachu.

Misja załogi superfortecy B-29, ochrzczonej zgodnie ze zwyczajem wisusowskim określeniem Ramp Tramp, zaczęła się nieszczególnie. Są takie dni, w których nic się nie układa. A w ogóle pomysł wysyłania samolotów na odległość 1650 mil był zwariowany. Gdy grzali silniki, Anderson, inżynier pokładowy, zameldował, że wysiadło zasilanie agregatu, który pompował płyn ze zbiornika wyrównawczego do instalacji przeciwoblodzeniowych. Zanim technicy obsługi naziemnej rozebrali urządzenie i poskładali je do kupy, upłynęło trzydzieści denerwujących minut. W zasadzie powinien zażądać odwołania lotu i dodatkowego przeglądu, ale machnął ręką na procedury i wystartowali w pogoń za formacją. Żeby ją dogonić, Ramp Tramp musiał pędzić przez dwie godziny na maksymalnych obrotach. Gnać potrafił. Pędzony czterema wright-cyklonami – z których każdy rozwijał, dzięki sprężarkom, moc 2200 koni – latał na wysokim pułapie z prędkością myśliwca. Ale szybkość kosztuje i Darrell z niepokojem obserwował zespólny wskaźnik paliwa. Dogonili, lecz znad celu trzeba było wracać noga za nogą, bo z wyliczeń Andersona wynikało, że do bazy dolecą na ostatnich galonach. Znow byli sami na wielkim niebie.

Legenda wyprostował się służbiście i z wystudiowaną godnością sięgnął do manetek sterujących przepustnicami silników. Ten gest byłby stosowny nawet dla prezydenta uruchamiającego główną służbę Kanału Panamskiego podczas ceremonii otwarcia. Potem wydarzenia potoczyły się w oszałamiającym tempie. Numer trzeci, prawy wewnętrzny wright-

-cyklon, wyrzucił smugę czarnego dymu z płonącego oleju, a po chwili rzygnął tym olejem na lśniąca gondolę silnika i dalej na śliczne, błyszczące wypolerowanym duraluminium skrzydło. Pozbawiony smarowania silnik zatarł się błyskawicznie, a pięciometrowe, czterołopatowe śmigło Hamilton Standard znieruchomiło. To jeszcze nie było najgorsze. Bez ładunku dolecieliby z łatwością na trzech motorach, ale zlekceważona przez Darrella obrona przeciwlotnicza musiała trafić w coś, co unieruchomiło mechanizm szybkiej zmiany skoku. Mimo gorączkowych prób Fishera śmigło pozostawało w położeniu roboczym i nie dało się ustawić w chora-giewkę. Prawie pięć metrów kwadratowych powierzchni łopat dawało monstrualny opór czołowy. W dodatku Ramp Tramp trząsał się i podrygiwał jak chory na parkinsona, bo – żeby nie pozęgłować ku ziemi – musieli zwiększyć obroty numeru czwartego i żonglować mocą pozostałych cyklonów. A i tak Ramp Tramp zataczał się po niebie jak podchmielony włóczęga. Oczywiście było, że w samolocie, który musi pchać stawiające opór łopaty śmigła, benzyna skończy się wcześniej, niżby sobie tego życzyli. To tak, jakby ktoś usiłował biec pod wiatr z otwartym parasolem.

– Tośmy sobie polatali – Darrell zaklął bez złości i sięgnął po słuchawki. – Nic się nie da zrobić? Anderson! Wymyśl coś, bo nie zdążymy na kolację!

Inżynier pokładowy już od dłuższego czasu tkwił fraszobliwie pomiędzy fotelami pilotów. Teraz włożył suwak logarytmiczny do kieszeni bluzy najeżonej ostro zatemperowanymi ołówkami i pedantycznie zapiął guzik. Jego interpretacja była wiarygodna, ale ogólnikowa:

– To często tak bywa. Nie czuje się nawet uderzenia, a dopóki nie zmieniają się parametry lotu i pracy silnika, wszystko trzyma się kupy. Widzieliście, że odmaszerował dopiero wtedy, kiedy zredukowaliście obroty? Wcześniej przyrządy niczego nie pokazywały? Prawda?

Piloci posłusznie pokiwali głowami. Darrellowi jak na zawołanie wyświetliły się w głowie strony podręcznika o poetyckim tytule *Awarie statków powietrznych*. Musiał uczyć się na pamięć wykresów i tabel. Wymagano tego, udzielając licencji oblatywacza. Teraz wszystkie te wykresy i wyliczanki przyczyn i skutków można było sobie wsadzić do tyłka i popchnąć patyczkiem.

– Pewnie wycelowali w korek od oleju – Darrell zmrużył oko, uśmiechając się do drugiego pilota, choć sytuacja wyglądała na poważną i taką, która zasługiwała na miejsce w rzeczonyj księdze katastrof. Zawsze gdy robiło się niewesoło, pierwszą jego reakcją było niestosowne, ale poprawiające nastrój dowcipkowanie. Załogę to zdecydowanie irytowało.

– Raczej dokładnie w RPM*... – Legenda też się uśmiechnął, bo wyobraził sobie japońskiego celowniczego w owijaczach i z samurajskim mieczem, mierzącego w ich samolot. Celowniczy był zezowaty i miał rzadkie żółte zęby.

– Aha! – westchnął Darrell i spojrzał w tył, do góry, na inżyniera: – Anderson, weź swój suwak i oblicz, dokąd mamy szanse zalecieć na tej kulawej kacze, a po drodze powiedz Steinerowi, co ma przekazać do bazy.

Sierżant Albert J. Steiner był radiooperatorem i z racji niemiecko brzmiącego nazwiska obiektem niewybrednych docinków załogi. Chcieli mu koniecznie wmówić, że ma w Berlinie wysoko postawionego kuzyna i że gdyby tylko chciał, mógłby wykorzystać swoje rodzinne koneksje do odsunięcia Hitlera od władzy i szybkiego zakończenia wojny. Wręczyli mu nawet misternie wypłowany z grubej, oksydowanej blachy Krzyż Żelazny, który ku ich zdumieniu i hałaśliwej aprobacie zawiesił sobie natychmiast w wycięciu kołnierzyka i nigdy się z nim nie rozstawał, wierząc w jego magiczną moc, chroniącą od zestrzeleń. Jak dotąd Krzyż działał doskonale.

* RPM – mechanizm zmiany skoku śmigła.

Obliczenia nie trwały długo i po chwili Darrell usłyszał w interkombie głos Andersona:

– Harold, zostaw latanie Legendzie i chodź do nas.

Zdjął słuchawki i ciężko wygramolił się z fotela, bo korzonki znów dały o sobie znać ćmiącym ukłuciem. „To od tego cholernego latania – pomyślał. – Kiedy nie wyłazi się godzinami z fotela i człowiek nie rusza się przez cały dzień, to mięśnie zanikają i nie podtrzymują kręgosłupa, jak należy”. A fotele w superfortecy były wyjątkowo wygodne. Miały nawet, co Darrell uważał za zbyt dużą ekstrawagancję, stosowniejszą raczej dla I klasy pasażerskiej, luksusowe, wyściełane podłokietniki. Od miesiący obiecywał sobie w duchu, że zacznie się gimnastykować, biegać, grać z chłopcami w piłkę... Ale gdy po kolejnym locie wracał z baraku Intelligence Service, gdzie dowódcy bombowców spowiadali się z przebiegu misji, nie zachodził nawet do swojej kwatery. Nie szedł też pod prysznic, co byłoby ze wszech miar wskazane po długim locie w klimatyzowanej kabinie. Bocianimi krokami, przyspieszając jak koń, który wyczuje stajnię, sadził od razu do lotniskowej kantyny, by poczuć boski smak burbona, popijanego jasnym, puszkowym piwem. Teraz też chętnie by się napił, ale regulaminy USAAF nie przewidywały na pokładach statków powietrznych alkoholu innego niż ten, który krążył w instalacji antyoblodzeniowej. Anderson zajmował, wraz z nawigatorem w osobie kapitana Jacka W. Littona Jr., przedział oddzielony od kabiny pilotów pancernymi płytami. Było tu całkiem przytulnie. Umieszczone na lewej i prawej burcie okienka zasłonięte były wesołymi, kretonowymi zazdrostkami w kwiatki, które podarowała im narzeczona Juniora jeszcze w kraju. Po prawej, patrząc w stronę dziobu bombowca, wznosił się ozdobiony dziesiątkami zegarów, przełączników i dźwigni ołtarz głównej konsoli kontrolnej. Anderson miał tu obity skórą fotel. Intymnie oświetlony, rozkładany stół nawigacyjny z obrotowym fotelikiem i kompletem podstawowych przyrządów, a pod nim pomysłowy segregator na mapy, umieszczono na przeciwległej

burcie. Stanowisko nawigatora sąsiadowało z boksem operatora doskonałego radaru bombardierskiego AN/APQ-23. W górze, niczym olbrzymi bojler, pracowała z cichym szmerem serwomotorów przednia wieża strzelecka. Niemal w jednej osi pomieszczono jej lustrzane odbicie: dolną wieżę. Dalej w stronę ogona zamontowano przegrodę ciśnieniową, za którą znajdowała się pusta w tej chwili gigantyczna komora bombowa. Anderson drapał się fraszobliwie po krótko ostrzyżonej głowie. Obydwaj z Juniorem (z wszystkich członów skomplikowanych personaliów Littona ostał się tylko Junior) mieli nieszczególne miny. Nawigator gestem poprosił dowódcę o spojrzenie na mapę i nie podnosząc już wzroku na Darrella, wbił nóżkę cyrkla w karton.

– Jesteśmy tu. – Przyłożył do mapy ekierkę z centymetrową podziałką i rozsunął cyrkiel. Potem narysował półokrąg i uroczyście zakomunikował: – Możemy dojechać do każdego miejsca w tym kółku.

Darrell odsunął go delikatnie i zajął obrotowy fotelik. Przy okazji po raz pierwszy (choć wydawało mu się, że zna doskonale swój samolot) zauważył, że nóżki fotelika są sprytnie wsunięte w podłogowe listwy prowadnic. Konstruktor zrobił to tak przemyślnie, że gdyby nawet przyszło pilotowi do głowy zrobić superfortecą beczkę, to tylko nawigator oraz jego cyrkle i ekierki pozęglowałyby w stronę sufitu, a fotelik nie drgnąłby ani o cal. Granica zakreślona przez rysik cyrkla stawiała załogę Ramp Tramp w zupełnie nowej sytuacji i Darrell postanowił się upewnić:

– Tylko tyle?

Anderson oburzył się szczerze:

– Policzyliśmy dwa razy.

– Z tego, moi panowie, wynika niezbiecie, że możemy albo spaść na głowę Japończykom, albo, jak zalecimy dalej – chińskim komunistom, ale ci ugotują nas z ryżem. Zresztą, o ile wiem, tu nie ma żadnych sensownych lotnisk. Możemy również wracać do Anshan i zobaczyć, czy stalownia jeszcze się pali...